

# Powrót do ubóstwa

6 maja 2020

Ludzkość zawsze toczyła choroba ubóstwa. Dlatego nieocenionym sukcesem państwa opiekuńczego było wprowadzenie nowego, społecznego porządku, oznaczającego m.in. działania na rzecz minimalizowania zasięgu biedy. Ale wirus starego porządku wciąż tkwił w naszej mentalności. Dziś powraca wraz z pandemią.

Państwo jako instytucja rzadko zajmowało się rozwiązaniem kwestii ubóstwa. Chyba że ubodzy stanowili zagrożenie dla władzy lub bieda dosięgała rządzących. Dlatego ubóstwo było zwyczajowo indywidualnym problemem ubogich. Jeśli przyjmiemy, że pierwsze państwa powstały mniej więcej pięć tysięcy lat temu, a problemem ubóstwa władza zaczęła interesować się poważnie około stu lat temu, to okaże się, że przez zaledwie dwa procent rozwoju państwowości kwestia ubóstwa była kwestią uspołecznioną, czyli taką, która miała znaczenie polityczne.

To zastanawiające, gdyż w gruncie rzeczy wszyscy zrodziliśmy się z biedy. Weźmy choćby Europę: prześladowana i wynędzniała starożytna mniejszość chrześcijańska stała się w pewnym momencie większością. To z tej społeczności, społeczności religii biednych, generowała się średniowieczna arystokracja, choć wsparcie współwyznawców w niedoli pozostało zadaniem instytucji religijnych i siłą rzeczy ograniczało się do obszarów zurbanizowanych, czyli ułamka średniowiecznego świata. Idea uczynienia z ubóstwa wartości duchowej ugruntowała inercję władz politycznych w tym obszarze, gdyż oznaczała przesunięcie tej kwestii z codziennej rzeczywistości do obszaru sacrum.

W kolejnych wiekach, jeśli już państwo spoglądało na biednych, czyniło to podejrzliwe i z pogardą, jak na zagrożenie porządku społecznego. Ubodzy stanowili źródło niepokoju, epidemii i dysfunkcji, zatem należało się ich pozbyć, albo przynajmniej

uciszyć. Stąd na ogół balansowano pomiędzy dwiema strategiami postępowania z biednymi: szubienicą i litością. Jak pisał Bronisław Geremek – przez wiele epok stryczek dla żebraków współistniał z miłosiernym gestem jałmużny. Represyjność władz w stosunku do ubogich przybierała różne oblicza: od wygnania z miast, poprzez surowe zakazy żebractwa, zamykanie w przytułkach, aż po przymuszanie do pracy. Słynna jest przypowieść o amsterdamskim domu pracy z osiemnastego wieku, gdzie biedaków odmawiających wykonywania pracy „uczono” odpowiednich postaw umieszczając ich w lochach, które powoli zalewano wodą. Aby przeżyć, otrzymywali pompę, z której musieli zrobić odpowiedni użytek, wykształcając tym sposobem – jak sądzono – nawyk pracy.

Przełom w myśleniu o ubóstwie nadszedł wraz z rewolucją przemysłową. W rolniczych społeczeństwach przedprzemysłowych rozproszenie terytorialne oraz brak podmiotowości chłopów skutkowało tym, iż przez wieki nie udało się upolitycznić kwestii ubóstwa. W tym kontekście, w naukach społecznych czasami mówimy o procesie uspołecznienia ryzyk socjalnych, tj. o nadawaniu zbiorowego znaczenia określonym zdarzeniom w życiu człowieka, które powodują zanik dochodów. Generalnie do dwudziestego wieku większość ryzyk socjalnych – jak starość, choroba, niepełnosprawność, brak pracy czy właśnie ubóstwo – nie miała wymiaru społecznego, co oznacza, iż nie były przedmiotem zainteresowania państwa. Pamiętajmy jednak, iż nawet dziewiętnastowieczne społeczeństwa wciąż były w przeważającej mierze wiejskie, gdzie wielopokoleniowa rodzina spełniała rudymen tarne funkcje socjalne, a ponadto infrastruktura administracji publicznej tamtych czasów oraz struktura budżetów ówczesnych państw utrudniały realizację, jak mawia Gøsta Esping-Andersen, „kolektywizacji ryzyka socjalnego na masową skalę”.

Wraz z wspomnianą industrializacją rozdziałowi uległo miejsce zamieszkania od miejsca pracy. Rozpoczął się proces przekształcania pojęcia pracy, polegający na jej

uspołecznieniu. Praca ewoluowała z naturalnej, indywidualnej czynności ludzkiej w działanie o znaczeniu społecznym, co oznaczało przejście tej wartości ze strefy prywatnej do publicznej. Myśl ta prowadzi nas do oczywistego związku pracy z ubóstwem; można by rzec – jego odkrycia przez państwo. Proletariacka bieda zaczęła być pojmowana nie tylko w kategoriach prywatnych, jednostkowych, ale także w perspektywie grup społecznych o określonej sile fizycznej i politycznej. Wszak istotą rewolucji przemysłowej było również to, iż zdecentralizowane chłopskie masy, będące w poprzednich epokach źródłem ubóstwa, przekształciły się w liczne szeregi robotników scentralizowanych w przyfabrycznym świecie przemysłu. To właśnie te środowiska, swoją masą i mięśniami, wywalczyły pionierskie wprowadzenie przez Otto Bismarcka ubezpieczeń społecznych dla robotników fabrycznych.

Był to początek rozwoju nowoczesnej, nierepresyjnej polityki społecznej. Pierwotnie funkcjonującej zresztą w otoczeniu nie w pełni demokratycznym. Dlatego też ten nowy porządek społeczny nabrał niebywałej siły wraz z upowszechnianiem praw wyborczych. To właśnie równoległe z tym procesem ewoluowała mobilizacja polityczna grup społecznych – z różnych form niestrukturalnych, takich jak nielegalne strajki czy protesty społeczne do sformalizowanych form demokratycznego nacisku – związków zawodowych, grup interesu czy partii politycznych. W ten sposób egoistyczny organizm czysto państwowy przekształcał się powoli we wspólnotowe państwo opiekuńcze, czyli organizację polityczną, która dostrzega biedę oraz reaguje na potrzeby grup społecznych. Ta – jak mawiał Seymour M. Lipset – „demokratyczna walka klas”, miała przede wszystkim wymiar partyjny, gdyż niewątpliwym realizatorem tych zmian były partie polityczne, a szczególnie ugrupowania socjalistyczne, socjaldemokratyczne oraz chadeckie, które traktuje się jako siłę napędową rozwoju polityki społecznej w dwudziestym wieku. Inaczej mówiąc, zmiana myślenia o ubóstwie wiązała się ze zmianą myślenia o społeczeństwie. Z ewolucją postrzegania państwa i jego roli. Rozwój socjalnych funkcji państwa

nastąpił w wyniku porzucenia egoistycznych tradycji władzy na rzecz wspólnotowości. Przekształcenie to dokonywało się w imię solidaryzmu społecznego i realizacji idei praw społecznych. Jednego z najbardziej niedocenianych procesów w naszej historii.

Skoro państwo przez wieki spoglądało na biedę z za przyłbicy, to rozwiązaniem problemu ubóstwa zajmować się musieli niestrudzeni poszukiwacze sprawiedliwości i równości społecznej. Od filozofów religii po marksistów. Kto dziś pamięta Thomasa H. Marshalla i jego elegancki esej „Citizenship and Social Class” z 1949 roku? Państwo ma obowiązki wobec jednostek, nie tylko natury cywilnej i politycznej, ale także społecznej – twierdził brytyjski socjolog. Nikt wcześniej tak wyraźnie nie sformułował tej prostej myśli, że obywatel w państwie nigdy nie będzie w pełni obywatelem, jeśli nie będzie miał zagwarantowanego bezpieczeństwa socjalnego. Idea ta, która legła u podstaw konstrukcji państw opiekuńczych, zrywała z wielowiekową zasadą, polegającą na tym, iż biedni byli zależni od innych: od ich łaski.

Ta nowa dwudziestowieczna umowa pomiędzy państwem a ludem miała wymiar iście przełomowy, gdyż określała, iż zapewnienie minimalnego poziomu socjalnego obywateli to obowiązek państwa, a nie prywatnych jednostek. To prawo, a nie dobroczynność. To ustawodawstwo, a nie litość. To w istocie publiczny mechanizm niwelacji wspomnianych wcześniej ryzyk socjalnych. To jedyna szansa na upodmiotowienie biednych i urzeczywistnienie idei równych szans. Na kontynencie europejskim prawa społeczne, a w konsekwencji państwowe systemy ochrony socjalnej, osiągnęły dojrzały kształt na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Tym samym, pierwszy raz w historii zminimalizowano poziom ubóstwa na starym kontynencie.

Historia walki z ubóstwem jest historią przełamywania postaw egoistycznych. To zwycięstwo zasady solidaryzmu społecznego

nad jednostkowością i uznaniowością. Triumf uniwersalizmu nad partykularyzmem.

Dziś jednak stwierdzenie, iż przez wieki ubodzy stanowili dla państwa wstydliwą chorobę czy narośl, którą nie ma się ochoty ruszać, nabiera zupełnie innego znaczenia. Sytuacje kryzysowe od zawsze odsłaniały prawdziwe oblicze zjawisk społeczno-politycznych. Tym razem epidemia koronawirusa ukazuje, jak w rzeczywistości kruchy porządek zbudowaliśmy, ale nie w obszarze instytucji społecznych, lecz w naszej mentalności. Jak łatwo dziś, w obliczu epidemii koronawirusa, przychodzi nam myśl o społeczeństwie indywidualistów, o selektywności praw socjalnych, o słuszności represyjności władz i instytucji. Jak bez drżenia powieki podważamy zasadę równości społecznej czy publicznej redystrybucji dóbr. Jak bez trudu odbieramy podmiotowość ubogim, zakażonym, uszkodzonym. Zwróćmy uwagę, jak w obliczu epidemii koronawirusa wciąż niewiele mówi się o zapewnieniu ochrony socjalnej grupom najuboższym społecznie. Jak mało poświęca się działań na rzecz minimalizacji zasięgu ubóstwa, które z pewnością nastąpi. Olga Tokarczuk powiada, że być może czeka nas powrót do starego porządku. W tym kontekście dookreślilibyśmy: powrót do ubóstwa.

Nie miejmy jednak wątpliwości, że o wiele łatwiej będzie nam uporać się z nadchodzącym kryzysem ekonomiczno-społecznym, gdy nie będziemy stosować starego leku na nową chorobę. Gdy wykorzystamy wszystkie dostępne instrumenty polityki społecznej nowoczesnego państwa opiekuńczego, myśląc holistycznie o społeczeństwie jako o solidarnej wspólnotce żyjącej w jednym organizmie, kierującym się zasadą, iż załamanie najsłabszego elementu powoduje powolny upadek całości.

Autorstwo: dr Krzysztof Chaczko

Źródło: [NowyObywatel.pl](http://NowyObywatel.pl)